

A photograph of a gold ring hanging from a string against a dark, textured background. The ring is positioned on the right side of the frame, and its shadow is cast onto the surface behind it. The background has a mottled, greenish-blue appearance with some vertical lines.

HARLAN COBEN

Już mnie nie oszukasz

Thriller

1

Pochowali Joeego trzy dni po tym, jak został zamordowany. Maya ubrała się na czarno, jak przystało na pogrążoną w żałobie wdowę. Słońce grzało z niesłabnącą furją, która przypominała jej lata spędzone na pustyni. Pastor sypał frazesami, ale Maya nie słuchała. Powędrowała wzrokiem na szkolne podwórko po drugiej stronie ulicy.

Tak, cmentarz znajdował się naprzeciwko szkoły podstawowej.

Maya przejeżdżała tędy mnóstwo razy, mijając szkołę po prawej i cmentarz po lewej stronie, ale nigdy wcześniej nie zwróciła uwagi na jego dziwaczne, żeby nie powiedzieć nieprzyzwoite, położenie. Co pojawiło się pierwsze, szkolne boisko czy cmentarz? Kto zdecydował, że szkoła powstanie obok nekropolii – albo odwrotnie? Czy to zestawienie końca i początku życia było pozbawione znaczenia, czy może kryła się w nim jakaś głębia? Śmierć jest tak blisko, zawsze, oddalona o jeden oddech, więc może warto oswojać dzieci z tym pojęciem od najmłodszych lat.

Maya snuła takie próżne rozważania, patrząc, jak trumna

Joego znika pod ziemią. Zajmij czymś myśli. To najlepszy sposób. Jakoś to przetrwaj.

Czarna sukienka ją uwierała. W ciągu ostatnich dziesięciu lat Maya uczestniczyła w ponad stu pogrzebach, ale po raz pierwszy była zmuszona ubrać się na czarno. Wcale jej się to nie podobało.

Po jej prawej stronie stała najbliższa rodzina Joego – jego matka Judith, brat Neil, siostra Caroline – przytłoczona upałem oraz dojmującym smutkiem. Po lewej stała jej (i Joego) dwuletnia córeczka Lily, która coraz bardziej się niecierpliwiła i zaczynała używać ręki Mai jako huśtawki. Zgodnie z rodzicielskim frazesem dzieci nie mają instrukcji obsługi. Dzisiaj było to aż nadto prawdziwe. Maya zastanawiała się, co należy zrobić w takiej sytuacji. Zostawić dwulatkę w domu czy zabrać ją na pogrzeb ojca? Nikt nie poruszał takich kwestii na stronach internetowych dla matek, gdzie roiło się od przemądrzałych, uniwersalnych porad. Rozżalona Maya omal nie zadała tego pytania w sieci: „Cześć wszystkim! Mojego męża niedawno zamordowano. Czy powinnam zabrać dwuletnią córkę na cmentarz, czy może zostawić ją w domu? Aha, i w co ją ubrać? Dzięki!”.

Na pogrzebie pojawiły się setki osób, a jakaś pozostająca w cieniu częśćka jej umysłu zdawała sobie sprawę, że Joe byłby z tego zadowolony. Lubił ludzi. Ludzie lubili jego. Ale sama popularność oczywiście nie usprawiedliwiała tych tłumów. Żałobników przyciągnął straszliwy powab bycia blisko tragedii – oto młody mężczyzna, zastrzelony z zimną krwią, uroczy potomek bogatego rodu Burkettów i mąż kobiety zamieszanej w międzynarodowy skandal.

Lily oburącz objęła nogę matki. Maya nachyliła się i

wyszeptała:

– Już niedługo, kochanie, dobrze?

Dziewczynka pokiwała głową, ale ścisnęła jeszcze mocniej.

Maya wyprostowała się, obiema rękami wygładzając uwierającą ją czarną sukienkę, którą pożyczyła od Eileen. Joe nie chciałby jej oglądać w czerni. Zawsze wołał ją w oficjalnych wojskowych strojach, które nosiła, gdy była kapitan Mayą Stern. Podczas ich pierwszego spotkania, na gali charytatywnej zorganizowanej przez rodzinę Burkettów, Joe podszedł do niej, w smokingu, uśmiechnął się zawadiacko (Maya nie do końca rozumiała znaczenie słowa „zawadiacki”, dopóki nie zobaczyła tego uśmiechu) i powiedział: „Kurczę, myślałem, że to mężczyźni w mundurach mają działać podniecająco”.

To był kiepski tekst, na tyle kiepski, że roześmiała się, co w zupełności wystarczyło facetowi takiemu jak Joe. Rany, był tak cholernie przystojny. Nawet teraz, stojąc w wilgotnym zaduchu, metr od jego zwłok, Maya uśmiechnęła się na tamto wspomnienie. Rok później się pobrali. Wkrótce na świat przyszła Lily. A teraz, zupełnie jakby ktoś przewinął do przodu nagranie z ich wspólnego życia, Maya składała do grobu męża i ojca ich jedyne dziecko.

– Wszystkie historie miłosne kończą się tragedią – powiedział do Mai ojciec wiele lat temu.

Pokręciła wtedy głową.

– Boże, tato, co za ponura myśl.

– Owszem, ale tylko pomyśl. Albo się odkochujesz, albo jeśli jesteś prawdziwą szczęściarą, żyjesz na tyle długo, żeby zobaczyć, jak twoja pokrewna dusza umiera.

Wciąż widziała ojca siedzącego naprzeciwko niej, przy

kuchennym stole pokrytym żółknącym laminatem, w ich kamienicy na Brooklynie. Tata jak zwykle miał na sobie rozpinany sweter (przedstawiciele wszystkich zawodów, nie tylko żołnierze, noszą jakiś rodzaj uniformu), a wokół leżały wypracowania studentów college'u, które musiał ocenić. On i mama zmarli wiele lat temu, w odstępie kilku miesięcy, ale prawdę mówiąc, Maya wciąż nie potrafiła orzec, do której kategorii należała ich historia miłosna.

Podczas gdy pastor nie przestawał głądzić, Judith Burkett, matka Joego, zamknęła dłoń Mai w kurczowym uścisku rozpaczy.

– Teraz jest jeszcze gorzej – wymamrotała.

Maya nie prosiła o wyjaśnienie. Nie było to potrzebne. Judith Burkett już po raz drugi musiała pochować dziecko. Straciła dwóch z trzech synów, jednego rzekomo w tragicznym wypadku, a drugiego za sprawą morderstwa. Maya zerknęła na własne dziecko, na czubek głowy Lily, zastanawiając się, jak matka może znieść takie cierpienie.

Jakby domyślając się, o czym myśli synowa, stara kobieta wyszeptwała:

– Już nigdy nie będzie dobrze. – Jej proste słowa przecięły powietrze jak kosa. – Nigdy.

– To moja wina – odrzekła Maya.

Nie zamierzała tego powiedzieć. Judith podniosła na nią wzrok.

– Powinam była... – zaczęła Maya.

– Niczego nie mogłaś zrobić – przerwała jej teściowa.

Jednak jej głos wciąż nie brzmiał naturalnie. Maya to rozumiała, bo pozostali zapewne myśleli o tym samym. Maya Stern w przeszłości ocaliła tak wielu ludzi. Dlaczego nie

potrafiła uratować własnego męża?

– Z prochu powstałeś...

Kurczę, czy pastor naprawdę sięgnął po ten wyświechtany tekst, czy może Mai się przywidziało? Niezbyt uważnie słuchała. Jak zwykle na pogrzebach. Często stykała się ze śmiercią i rozumiała, że w jej obliczu tajemnicą przetrwania jest odrętwienie. Nie skupiaj się na niczym. Niech dźwięki i obrazy zleją się ze sobą, aż staną się nierozpoznawalne.

Trumna Joego dotarła do dna z głuchym hukiem, który zbyt długo odbijał się echem w nieruchomym powietrzu. Judith oparła się o synową i cicho jęknęła. Maya trwała w wojskowej postawie – głowa wysoko, prosty kręgosłup, ramiona odchylone do tyłu. Niedawno przeczytała jeden z tych poradnikowych artykułów, które ludzie zawsze rozsyłają sobie e-mailem, dotyczący „zdecydowanej postawy” i tego, w jaki sposób ma nam ona pomagać w działaniu. Wojskowi już dawno zrozumieli ten element popularnej psychologii. Żołnierz nie stoi na baczność dlatego, że to ładnie wygląda. Robi to dlatego, że albo dodaje mu to siły, albo, co równie ważne, czyni go silniejszym w oczach towarzyszy i wrogów.

Maya na chwilę wróciła myślami do parku – błysk metalu, odgłos wystrzałów, upadający Joe, jej koszula pokryta krwią, chwiejna wędrówka w ciemności, odległe latarnie uliczne z zamglonymi aureolami światła...

„Pomocy... proszę... niech ktoś mi pomoże... mój mąż...”

Zamknęła oczy i odepchnęła od siebie te wspomnienia.

Trzymaj się, powiedziała sobie. Po prostu to przetrwaj.

I przetrwała.

■ ■ ■

Potem ustawiła się do niej kolejka.

Takie coś zdarza się człowiekowi tylko na pogrzebie i ślubie. Zapewne kryje się za tym jakaś głębsza refleksja, ale Mai nic nie przychodziło do głowy.

Nie miała pojęcia, jak wiele osób do niej podeszło, ale trwało to godzinami. Żałobnicy powoli sunęli naprzód, jak w filmie o zombie, w którym na miejscu jednego żywego trupa zaraz pojawiają się następne.

Po prostu się nie zatrzymujcie.

Większość rzucała ciche: „Bardzo współczuję”, co stanowiło idealny komentarz. Niektórzy byli zbyt gadatliwi. Jaka to tragedia, jaka strata, miasto schodzi na psy, oni sami też kiedyś zostali napadnięci przez uzbrojonego rabusia (pierwsza zasada: w takiej kolejce nigdy nie opowiadaj o sobie), oby policja posłała na krzesło elektryczne zwierzęta, które to zrobiły, Maya miała niebywałe szczęście, pewnie Bóg nad nią czuwał (co by sugerowało, że Joe niezbyt Go obchodził), a wszystko stanowi Jego plan i nic nie dzieje się bez powodu (to cud, że nie zdziesiąła żadnej z tych osób pięścią w twarz).

Bliscy Joego opadli z sił i w połowie musieli usiąść. Ale nie Maya. Ona wytrzymała do końca, patrząc wszystkim żałobnikom w oczy i witając ich mocnym uściskiem dłoni. Przy użyciu bardziej albo mniej subtelnej mowy ciała zniechęcała osoby, które zamierzały przekazywać kondolencje za pomocą uścisków lub pocałunków. Chociaż ich słowa były pozbawione treści, Maya słuchała uważnie, kiwała głową, mówiła: „Dziękuję, że przyszedłeś”, wciąż takim samym, w miarę szczerym tonem, a potem witała następną osobę.

Druga podstawowa zasada obowiązująca w kolejce na

pogrzebie: nie mów zbyt wiele. Krótkie frazesy dobrze się sprawdzają, ponieważ na pewno nikogo nimi nie obrazisz. Jeśli czujesz potrzebę powiedzenia czegoś więcej, w kilku słowach wspomnij zmarłego. Nigdy nie rób tego co ciotka Joego, Edith. Nie płacz histerycznie i nie stawaj się najbardziej teatralnie cierpiącym z żałobników, jak również nigdy nie mów do pogrążonej w smutku wdowy czegoś przerażająco głupiego, na przykład: „Biedactwo, najpierw twoja siostra, a teraz mąż”.

Świat zatrzymał się na chwilę, kiedy ciotka Edith wypowiedziała na głos to, co myślało wielu obecnych, zwłaszcza że w zasięgu słuchu znajdowali się młody siostrzeniec Mai, Daniel, oraz jej jeszcze młodsza siostrzenica, Alexa. Maya poczuła, że krew się w niej gotuje, i wiele ją kosztowało, aby nie chwycić ciotki za gardło i nie wyrwać jej strun głosowych.

Zamiast tego powiedziała w miarę szczerym tonem:

– Dziękuję, że przyszedłeś.

Sześciu członków byłego plutonu Mai, wliczając Shane’a, stało z tyłu, bacznie ją obserwując. Robili tak, czy jej się to podobało, czy nie. Kiedy byli razem, nigdy nie schodzili z warty. Mieli na tyle rozsądku, że nie ustawili się w kolejce. Jak zawsze byli jej milczącymi opiekunami, a ich obecność stanowiła dla niej jedyną prawdziwą pociechę tego straszliwego dnia.

Chwilami Maya miała wrażenie, że słyszy dobiegający z daleka chichot córki – jej najlepsza przyjaciółka, Eileen Finn, zabrała Lily na plac zabaw przy szkole podstawowej po drugiej stronie ulicy – ale może to wyobraźnia płałała jej figle. Dziecięcy śmiech w takich okolicznościach brzmiał

nieprzyzwoicie, ale zarazem stanowił afirmację życia. Maya go pragnęła, a jednocześnie nie potrafiła znieść.

Daniel i Alexa, dzieci Claire, stały na końcu kolejki. Maya przygarnęła je do siebie, jak zawsze pragnąc je ochronić przed wszelkim złem. Eddie, jej szwagier... Czy właśnie nim był? Jak się nazywa mężczyzną, który ożenił się z twoją siostrą, zanim została zamordowana? „Były szwagier” bardziej kojarzy się z rozwodem. Może „niegdysiejszy szwagier”? A może po prostu pozostać przy „szwagrze”?

Kolejne próżne rozważania, które miały odwrócić jej uwagę.

Eddie podszedł do niej niepewnie. Na twarzy miał kępki zarostu w miejscach, które ominął maszynką. Pocałował Mayę w policzek. Woń płynu do ust i miętusów była wystarczająco silna, żeby zagłuszyć inne zapachy, które być może dałoby się wyczuć w jego oddechu, ale czyż nie o to chodziło?

- Będzie mi brakowało Joego – wymamrotał.
- Wiem, Eddie. Bardzo cię lubił.
- Jeśli jest coś, co możemy zrobić...

Możesz bardziej dbać o swoje dzieci, pomyślała Maya, ale gniew, który zazwyczaj wobec niego czuła, teraz się ulotnił, zatonał niczym dziurawa tratwa.

- Damy sobie radę, dzięki.

Eddie zamilkł, jakby on także potrafił czytać jej w myślach, co w tym wypadku nie było wykluczone.

– Przepraszam, że przegapiłam twój ostatni mecz – powiedziała Maya do Alexy – ale jutro na pewno przyjdę.

Wszyscy troje sprawiali wrażenie skrepowanych.

- Ależ nie musisz – rzekł Eddie.

– To żaden problem. Chętnie zajmę myśli czymś innym.

Eddie pokiwał głową, zabrał Daniela i Alexę i ruszył w stronę samochodu. Alexa obejrzała się na Mayę, która posłała jej krzepiący uśmiech. „Nic się nie zmieniło – przekazywał ten uśmiech. – Zawsze będziesz mogła na mnie liczyć, tak jak obiecałam twojej matce”.

Maya patrzyła, jak rodzina Claire wsiada do auta. Daniel, pewny siebie czternastolatek, usiadł z przodu. Alexa, która miała dopiero dwanaście lat, zajęła miejsce z tyłu. Od śmierci matki stale się krzywiła, jakby przygotowywała się na kolejny cios. Eddie pomachał, posłał Mai zmęczony uśmiech i wślizgnął się za kierownicę.

Maya czekała, obserwując odjeżdżający powoli samochód. Kiedy zniknął, zauważyła detektywa z nowojorskiego wydziału zabójstw, Rogera Kierce’a, który stał w oddali, oparty o drzewo. Nawet dzisiaj. Nawet teraz. Kusilo ją, żeby podejść i stawić mu czoło, zażądać wyjaśnień, ale Judith ponownie chwyciła ją za rękę.

– Chciałabym, żebyście ty i Lily wróciły z nami do Farnwood.

Burkettowie zawsze tak nazywali swój dom. Zapewne to powinno było dać pojęcie Mai o tym, co się z nią stanie, gdy wejdzie do takiej rodziny.

– Dziękuję, ale uważam, że Lily musi być w domu – odpowiedziała.

– Musi być z rodziną. Ty także.

– Dziękuję za propozycję.

– Mówię poważnie. Lily zawsze będzie naszą wnuczką. A ty zawsze będziesz naszą córką.

Judith jeszcze mocniej ścisnęła jej dłoń, żeby podkreślić

swoje słowa. Były takie słodkie, zupełnie jakby czytała je z monitora podczas jednej ze swoich gal charytatywnych, a zarazem nieszczerze – przynajmniej odnośnie do Mai. Osoby, które przez małżeństwo związały się z rodem Burkettów, mogły liczyć najwyżej na łaskawą tolerancję.

– Innym razem – odrzekła Maya. – Na pewno mnie rozumiesz.

Teściowa pokiwała głową i zdawkowo ją uściśniła. Podobnie uczynili brat i siostra Joego. Maya patrzyła na ich zbolące twarze, gdy powoli szli w stronę wydłużonych limuzyn, które miały ich odwieźć do posiadłości Burkettów.

Jej dawni kompani z plutonu wciąż tu byli. Złowiła spojrzenie Shane'a i lekko skinęła głową. Zrozumieli. Nie tyle się „rozeszli”, ile dyskretnie rozplynęli w powietrzu, starając się nie pozostawiać po sobie śladu. Większość z nich nadal pełniła służbę. Po tym, co wydarzyło się niedaleko granicy syryjsko-irackiej, Mayę „zachęcono” do przyjęcia zwolnienia ze służby, z uznaniem wszystkich zasług. Nie widziała innej możliwości, więc się zgodziła. Dlatego teraz, zamiast dowodzić nowymi rekrutami albo przynajmniej ich szkolić, emerytowana kapitan Maya Stern, przez krótki czas twarz nowej armii, uczyła pilotażu na lotnisku Teterboro w północnym New Jersey. Niekiedy była zadowolona. Zwykle tęskniła za służbą, i to bardziej, niż się spodziewała.

W końcu została sama przy stercie ziemi, która wkrótce miała przykryć jej męża.

– Ach, Joe – powiedziała.

Usiłowała poczuć jego obecność. Próbowwała tego już wcześniej, w niezliczonych sytuacjach żałoby, chcąc sprawdzić, czy uda jej się wyczuć jakąkolwiek energię

życiową utrzymującą się po śmierci, ale zawsze bezskutecznie. Niektórzy wierzą, że musi przetrwać choćby odrobina siły życiowej – że energia i ruch nigdy całkowicie nie zanikają, że dusza jest wieczna, że nie da się trwale zniszczyć materii i tak dalej. Może była to prawda, jednak im częściej Maya stykała się ze śmiercią, tym bardziej odnosiła wrażenie, że po niej nie ma już absolutnie nic.

Stała przy grobie, dopóki Eileen nie przyprowadziła Lily z placu zabaw.

– Gotowa? – spytała przyjaciółka.

Maya po raz kolejny zerknęła na dół w ziemi. Chciała powiedzieć Joemu coś ważnego, coś, co mogłoby przynieść im obojgu ulgę, ale nic nie przychodziło jej do głowy.

Eileen odwiozła je do domu. Lily zasnęła w foteliku samochodowym, który wyglądał, jakby zaprojektowano go w NASA. Maya siedziała z przodu, na fotelu pasażera, i patrzyła przed siebie. Kiedy dotarli do domu – Joe również chciał nadać mu jakąś nazwę, ale ona zdecydowanie się sprzeciwiła – udało jej się rozpiąć skomplikowany system pasków i uwolnić Lily z tylnego siedzenia. Przytrzymała jej główkę, żeby córka się nie obudziła.

– Dzięki za podwiezienie – szepnęła.

Eileen wyłączyła silnik.

– Mogę wejść na chwilę?

– Poradzimy sobie.

– Nie wątpię. – Eileen odpięła pas. – Ale chciałabym coś ci dać. To zajmie dwie minuty.

■ ■ ■

Maya wzięła przedmiot do ręki.

– Ramka cyfrowa na zdjęcia?

Eileen była rudawą blondynką z piegami i szerokim uśmiechem. Kiedy wchodziła do jakiegoś pomieszczenia, jej twarz wypełniała je blaskiem, co świetnie maskowało kryjące się pod spodem cierpienie.

– Nie, to kamera udająca ramkę cyfrową na zdjęcia.

– Słucham?

– Teraz, kiedy pracujesz na pełny etat, musisz mieć na wszystko oko, prawda?

– Chyba tak.

– Gdzie Isabella najczęściej bawi się z Lily?

Maya wskazała w prawo.

– W pokoju dziennym.

– Chodź, pokażę ci.

– Eileen...

Przyjaciółka wyjęła ramkę z jej dłoni.

– Po prostu chodź za mną.

Pokój znajdował się obok kuchni. Miał wysoko sklepiony sufit i mnóstwo jasnego drewna. Na ścianie wisiał telewizor z dużym ekranem. Dwa kosze były wypełnione po brzegi zabawkami edukacyjnymi dla Lily. Przed kanapą stał przenośny kojec, w miejscu, które kiedyś zajmował piękny mahoniowy stolik. Niestety, stolik nie był bezpieczny dla dziecka, więc musiał zniknąć.

Eileen podeszła do półki z książkami. Znalazła odpowiednie miejsce dla ramki i podłączyła kabel do pobliskiego gniazdka.

– Wgrałam kilka zdjęć twojej rodziny. Ramka będzie je kolejno wyświetlać. Czy Isabella i Lily zazwyczaj bawią się obok kanapy?

– Tak.

– Dobrze. – Eileen obróciła ramkę w tamtym kierunku. – Wbudowana kamera ma szerokokątny obiektyw, więc możesz zobaczyć cały pokój.

– Eileen...

– Widziałam ją na pogrzebie.

– Kogo?

– Twoją opiekunkę do dziecka.

– Rodzina Isabelli od dawna zna się z rodziną Joego. Jej matka była nianią Joego. Jej brat pracuje u nich jako ogrodnik.

– Naprawdę?

Maya wzruszyła ramionami.

– Bogacze.

– Są inni.

– Właśnie.

– Więc jej ufasz?

– Komu, Isabelli?

– Tak.

Maya znów wzruszyła ramionami.

– Znasz mnie.

– Owszem. – Eileen początkowo była przyjaciółką Claire, z którą dzieliła pokój w akademiku na pierwszym roku college’u Vassar, ale szybko zbliżyła się także z Mayą. – Nikomu nie ufasz, Mayu.

– Tak bym tego nie ujęła.

– No dobrze. A kiedy chodzi o twoje dziecko?

– Kiedy chodzi o moje dziecko, rzeczywiście, nikomu nie ufam – przyznała Maya.

Eileen się uśmiechnęła.

– Właśnie dlatego ci to przyniosłam. Nie sądzę, żebyś czegoś się dopatrzyła. Isabella wydaje się doskonała.

– Ale lepiej się zabezpieczyć, niż żałować?

– Otóż to. Nawet nie wiesz, o ile pewniej się dzięki temu poczułam, gdy musiałam zostawić Kyle’a i Missy z nianią.

Maya miała wątpliwości – czy Eileen naprawdę sprawdzała swoją nianię, czy może zbierała dowody przeciwko komuś innemu? – ale na razie zachowała je dla siebie.

– Masz w swoim komputerze gniazdo do kart SD? – spytała Eileen.

– Nie wiem.

– Nieważne. Mam dla ciebie czytnik SD, który możesz podłączyć do dowolnego gniazda USB. Wystarczy go podpiąć do laptopa albo komputera. Nic prostszego. Na koniec dnia wyjmujesz kartę SD z ramki... jest tutaj, widzisz?

Maya skinęła głową.

– Potem wsadzasz kartę do czytnika. Na ekranie pojawia się to, co się nagrało. Karta ma pojemność trzydziestu dwóch gigabajtów, więc powinna wystarczyć na kilka dni. Kamera posiada czujnik ruchu, dlatego nie nagrywa, kiedy pokój jest pusty.

Maya nie mogła powstrzymać uśmiechu.

– Tylko spójrz na siebie – rzuciła.

– No co? Przeszkadza ci to odwrócenie ról?

– Trochę. Sama powinnam była o tym pomyśleć.

– Dziwi mnie, że tego nie zrobiłaś.

Opuściła wzrok i popatrzyła przyjaciółce w oczy. Eileen miała niecałe sto sześćdziesiąt centymetrów wzrostu, a Maya prawie sto osiemdziesiąt, chociaż przez to, że zawsze była sztywno wyprostowana, wydawała się jeszcze wyższa.

– Czy kiedyś zobaczyłaś coś na swojej kamerze?

– Chodzi ci o coś, czego nie powinnam zobaczyć?

– Właśnie.

– Nie – przyznała Eileen. – Wiem, co sobie myślisz. On nie wrócił. I nie widziałam się z nim.

– Nie oceniam cię.

– Ani trochę?

– Jaka byłaby ze mnie przyjaciółka, gdybym choć trochę cię nie oceniała?

Eileen podeszła i objęła Mayę. Ta odwzajemniła uścisk. Eileen nie była obcą osobą składającą kondolencje. Maya trafiła do Vassar rok po Claire. Trzy dziewczyny mieszkały razem w tamtych beztrudnych dniach, zanim Maya rozpoczęła naukę w wojskowej szkole lotniczej w Fort Rucker w Alabamie. To z Eileen, obok Shane'a, łączyła ją najbliższa przyjaźń.

– Kocham cię, wiesz?

Maya pokiwała głową.

– Tak, wiem.

– Na pewno nie chcesz, żebym została?

– Musisz się zaopiekować swoją rodziną.

– W porządku – odrzekła Eileen, wskazując kciukiem ramkę cyfrową. – Mam na ciebie oko.

– Bardzo zabawne.

– Niespecjalnie. Ale rozumiem, że chcesz mieć trochę czasu dla siebie. Zadzwoń, jeśli będziesz czegoś potrzebowała. Aha, nie przejmuj się kolacją. Już zamówiłam ci chińszczyznę w Look See. Przywiozą za dwadzieścia minut.

– Kocham cię, wiesz?

– Tak. – Eileen ruszyła do drzwi. – Wiem. – Zatrzymała się. – Ojej.

– Co się stało?

– Masz towarzystwo.

2

Towarzystwem okazał się niski, mocno owłosiony detektyw z nowojorskiego wydziału zabójstw, Roger Kierce. Wszedł do domu, z całych sił starając się udawać nonszalancję i rozglądając się na wszystkie strony, jak gliniarze mają w zwyczaju.

– Ładny dom.

Maya zmarszczyła czoło, nie ukrywając rozdrażnienia.

Kierce kojarzył jej się z jaskiniowcem. Był krępy i barczysty, a jego ręce wydawały się nieproporcjonalnie krótkie. Miał twarz, która wyglądała na nieogoloną nawet bezpośrednio po goleniu. Jego krzaczaste brwi przypominały późne stadium przemiany gąsienicy, a włosy na grzbietach dłoni sprawiały wrażenie zakręconych lokówką.

– Mam nadzieję, że nie przeszkadzam.

– Niby dlaczego miałby pan przeszkadzać? – odparła Maya. – Aha, no tak, przecież właśnie pochowałam męża.

Kierce udał skruczę.

– Zdaję sobie sprawę, że wybrałem niefortunną chwilę.

– Tak pan sądzi?

– Ale jutro wraca pani do pracy, a zresztą kiedy jest odpowiednia chwila?

– Słuszna uwaga. Czym mogę panu służyć, detektywie?

– Czy mógłbym usiąść?

Wskazała kanapę w pokoju dziennym. Przyszła jej do głowy upiorna myśl. To spotkanie – a tak naprawdę wszystkie spotkania w tym pokoju – zostanie zarejestrowane przez ukrytą kamerę. Cóż za dziwna refleksja. Mogła oczywiście ręcznie włączać i wyłączać kamerę, ale kto by o tym pamiętał albo chciał każdego dnia tak się męczyć? Zastanawiała się, czy kamera nagrywa także dźwięk. Będzie musiała zapytać Eileen albo przekona się sama, kiedy sprawdzi zawartość karty.

– Ładny dom – powtórzył Kierce.

– Tak, już pan to mówił.

– W którym roku go wybudowano?

– W latach dwudziestych dwudziestego wieku.

– Rodzina pani zmarłego męża. To oni są właścicielami, prawda?

– Tak.

Kierce usiadł. Maya nadal stała.

– Czym mogę panu służyć, detektywie?

– Chodzi o kilka dodatkowych pytań, to wszystko.

– Dodatkowych?

– Zaraz wyjaśnię. – Posłał jej uśmiech, który zapewne uważał za rozbijający. Maya nie dała się nabrać. – Gdzie ja go wsadziłem...? – Zagłębił dłoń w kieszeni marynarki i wyjął postrzępiony notatnik. – Czy możemy jeszcze raz o tym porozmawiać?

Nie była pewna, co myśleć o detektywie, a jemu

przypuszczalnie właśnie o to chodziło.

– Czego chciałby się pan dowiedzieć?

– Zaczniemy od początku, dobrze?

Usiadła i rozpostarła dłonie, jakby chciała powiedzieć:
„Proszę zaczynać”.

– Dlaczego spotkała się pani z Joem w Central Parku?

– Poprosił mnie o to.

– Przez telefon, zgadza się?

– Tak.

– Czy to było normalne?

– Tak, spotykaliśmy się tam już wcześniej.

– Kiedy?

– Nie wiem. Wiele razy. Już panu mówiłam. To ładna część parku. Rozkładaliśmy kocyk, a potem jedliśmy lunch w Boathouse... – Zamilkła i przełknęła ślinę. – To po prostu było ładne miejsce.

– Owszem, w ciągu dnia. Ale jest dosyć odludne wieczorem, nie uważa pani?

– Zawsze czuliśmy się tam bezpieczni.

Uśmiechnął się do niej.

– Założę się, że pani czuje się bezpieczna w większości miejsc.

– Co pan ma na myśli?

– Była pani w tak wielu niebezpiecznych zakątkach świata, że park pewnie nie robi na pani wrażenia. – Kierce odkaszlnął w pięść. – A więc mąż zadzwonił do pani i zaproponował: „Spotkajmy się tam”, a pani się zgodziła.

– Tak jest.

– Tylko że... – Kierce zająrzył do notatnika, polizał palce i zaczął przerzucać kartki – ...on wcale do pani nie zadzwonił.

– Podniósł na nią wzrok.

– Słucham?

– Powiedziała pani, że Joe zadzwonił i poprosił o spotkanie w parku.

– Nie, to pan tak powiedział. Ja powiedziałam, że poprosił mnie przez telefon, żebyśmy się tam spotkali.

– Ale potem dodałem: „Zadzwonił do pani”, na co pani odrzekła: „Tak jest”.

– Łapie mnie pan za słowa, detektywie. Dysponuje pan rejestrem połączeń z tamtego wieczoru, prawda?

– Owszem.

– I figuruje w nim rozmowa telefoniczna między moim mężem a mną?

– Zgadza się.

– Nie pamiętam, czy to ja do niego zadzwoniłam, czy on do mnie. Jednak zaproponował, żebyśmy spotkali się w naszym ulubionym miejscu w parku. Równie dobrze ja mogłam to zaproponować... moim zdaniem to bez znaczenia... i możliwe, że bym to zrobiła, gdyby nie zasugerował tego pierwszy.

– Czy ktokolwiek może potwierdzić, że państwo wcześniej się tam spotykali?

– Chyba nie, ale nie widzę takiej potrzeby.

Kierce posłał jej nieszczerzy uśmiech.

– Ja również, więc przejdźmy dalej, dobrze?

Skrzyżowała nogi i czekała.

– Powiedziała pani, że dwaj mężczyźni zbliżyli się do was od zachodu. Czy to się zgadza?

– Tak.

– Mieli na głowach kominiarki?